

Jan Gałuszka

Wojenna dola

Korekta: Anna Cichoń
Projekt okładki: Bartłomiej Smyka
Wydawca: Urząd Gminy Tarnowiec

Magiel.

Na pięknej jasielskiej ziemi
Pokrytej samymi wzgórzami
Rozsiadła się góra Magiel
Pomiędzy Glinikami.

Przyszła ta wojna od wschodu,
Gnała ją ruskich wojsk siła,
Chociaż nie miała powodu,
To tu na Maglu utkwiała.

Bo tutaj z tej góry patrząc
Najlepsze pole widzenia,
Przyniosła ziemi okopy,
A ludziom same cierpienia.

Wielu żołnierzy tu padło,
A matki na nich czekają,
A oni „hura” krzyknęli
I martwi Magiel trzymają.

Poszła ta wojna na zachód,
Bo ofensywa ruszyła,
Pozostawiając spalone domy
I miny, co w ziemi ukryła.

I nie pomogły potężne bunkry
Ani kolczaste zasieki.
Oby już nigdy tu nie wróciła,
Aby umarła na wieki

Wstęp.

Opowiadanie moje chcę poświęcić ku pamięci mieszkańcom mojej wioski i ludziom mi bliskim, znajomym, którzy pamiętają wojenne przeżycia i tym, których zainteresuje moje opowiadanie i moje wojenne przeżycia i spostrzeżenia.

Chciałbym na początek przeprosić tych, których imiona i nazwiska wymieniłem, a to dlatego, ażeby to opowiadanie uwiarygodnić. Opowiadanie to poświęcam tym ludziom, najbardziej poszkodowanym przez działania wojenne, które przeszły przez moją rodzinną wieś Glinik Polski, a zapomniane upływem czasu, a także młodemu pokoleniu, które nie przeżyło tych ciężkich czasów.

Przyszło mi przyjść na świat na pięknej jasielskiej górzystej ziemi, w wiosce położonej u podnóża góry Magiel. Tu przeżyłem swoje ciężkie dziecinne lata i dzisiaj jeszcze chętnie wracam pamięcią do tych przeżyć, a ręka chwyta za pióro, ażeby te wspomnienia nie uległy zapomnieniu, a młodemu pokoleniu uświadomić, co to jest wojna i jakie pozostawia po sobie ślady.

Już sam czas mojego narodzenia był nie w porę, bo był to grudzień 1928 roku, a zima już panowała na dobre i zapowiadała się ciężka. Jak opowiadali mi moi rodzice, to rzeczywiście była to zima stulecia, bo mróz sięgał – 42 stopni Celsjusza, a okna w domu ciągle były jakby zamurowane. Jak przeżyłem tę zimę, nie pamiętam, ale podobno drzewa z mrozu pękały, strzelając jak z armaty, śnieg sięgał po strzechy domów, a po wodę do studni szło się takim tunelem wybranym w śniegu.

W tej to wiosce mieszkali sami rolnicy bogatsi i biedniejsi i temu gospodarzowi, który posiadał konia, żyło się łatwiej. w gospodarstwie mego ojca też się konia chowało, a że dom był już stary i mały, więc zabrał się ojciec za budowę nowego domu i woził drzewo z Hałbowa, Żydowskiego, Krempnej, żwir z Roztok, dachówkę z Polanki i gdy wybuchła wojna z Niemcami, dom już był wybudowany. Do szkoły miałem parę kroków, a że nauka nie robiła mi trudności, więc chętnie do niej latałem. Tak doczekałem 1 – go września 1939 roku, gdy wybuchła wojna i dobrze to zapamiętałem, bo był to piękny, słoneczny poranek i był to piątek, więc rodzice jak co tydzień wybierali się na targ do Jasła, ażeby sprzedać masło, ser, jajka i kupić do domu to, co było natychmiast potrzebne, jak nafta, mydło, cukier i oczywiście bułki dla dzieci. Bułki, których smak do dzisiaj pamiętam, może dlatego, że głód dodawał im takiego smaku.

Właśnie wtenczas, gdy rodzice już odjechali, a ja coś tam kombinowałem na podwórzu koło domu, usłyszałem straszny warkot dochodzący od strony południowej. Spojrzałem w jego kierunku i ujrzałem, jak ponad domami na wysokości jakieś sto metrów nad ziemią lecą takie duże, czarne, straszne samoloty. Nie wiedziałem, co się dzieje, lecz nie uciekałem, bo sąsiad Franciszek wołał, że to polskie samoloty mają ćwiczenia, lecz po chwili słychać było wybuchy bomb. To Niemcy bombardowali lotnisko w Moderówce i fabrykę „Wudete” w Krośnie. Gdy patrzyliśmy na dymy palącej się fabryki, przypadła do nas sąsiadka Roztocka i woła:

- Zalepiajcie wszystkie szpary w drzwiach i oknach domu, bo Niemcy wypuścili gaz i wszyscy się wytrujemy, jak go najdzie do domu! – i biegiem wróciła do swego domu.

Co robić?

- Polecę popatrzeć, co robi Roztocka – mówi najstarsza siostra i jak szybko poleciała, tak jeszcze szybciej wróciła i mówi, że Roztocka zalepia gliną okna i drzwi swego domu. Więc i siostra poszła w jej ślady i gdy rodzice wrócili z Jasła, to dom był już przygotowany do nadejścia gazu. a gdy ojciec wszedł do jego wnętrza, zapytał:

- Co się tu dzieje? – to choć czasy nie były do śmiechu, to twarz jego uśmiech zdradzała.

Po jakimś czasie, gdy wybiegłem na podwórko, ujrzałem na drodze biegnącej przez wieś kilku mężczyzn biegnących na południe wioski, trzymających w rękach widły, siekiery itp. Przedmioty, a jeden z nich krzyczał ile sił:

- Na Maglu Niemcy zrzucili desant, trzeba go zlikwidować!

Poleciałem i ja za nimi, bo nie wiedziałem, jak wygląda desant, ale czym było bliżej Maglu, tym szybciej chęci likwidacji desantu opadały – nie wiem, czy z powodu wysokiej

góry czy ze strachu, i nie wiem, czy tam ktoś doleciał, bo ja dużo wcześniej zawróciłem.

Organizatorem likwidacji, jak się później okazało, był sekretarz Gminy Tarnowieckiej i jak szybko urządził mobilizację, tak szybko nastąpiła demobilizacja i chłopska broń wróciła do obór i stodół.

Wrócił do wioski spokój, lecz nie na długo. Ktoś przyniósł nowinę, że Niemcy zabierają wszystkich mężczyzn i nie wiadomo, gdzie ich wywożą i co się z nimi dzieje. Strach opanował wszystkich, więc radzili, co robić i uradzili: „Nie dajmy się zabrać Niemcom i uciekniemy za Krosno, bo stamtąd Niemca zawrócą, wtenczas i my wrócimy”.

Ojciec mój po radzie z kolegą Józkiem S. postanowił, że uciekną i zaczęto robić przygotowania. Przysięgano, że tylko za Krosno i ani kroku dalej, więc po znalezieniu odpowiedniej torby zniknęło w niej masło, jajka, które mama ugotowała na twardo, ser i chleb, który udał się świeżo pieczony. Byłoby wszystko poszło sprawnie, gdyby się był Józek S. pospieszył przy pożegnaniu z żoną i dziećmi. Kiedy się już pojawił, to chwilę przed nim przyjechał do nas brat mojej mamy, wujek Michał z Jasła z żoną i dziećmi, ażeby na wsi przeczekać złe czasy i czuć się bezpieczniej w rodzinie. Widząc spakowaną torbę z niewiadomą zawartością zapytał ojca:

- a ty gdzieś się wybierasz?

W odpowiedzi usłyszał od ojca:

- Uciekamy za Krosno przed Niemcami i jak Niemców nawrócą, to i my zaraz wrócimy do domu.

A wujek jak nie krzyknie:

- Co z ciebie za ojciec, zostawiasz żonę i dzieci, a ty uciekasz! a kto to ma wrócić tego Niemca? Ty wiesz, jaką oni mają armię, ile czołgów, ile samolotów? Gazet nie czytasz?

Nie wiem, czy ojciec miał kiedyś jakąś gazetę w rękach, bo i kto na wsi miał czas zajmować się polityką. Pomogła wujkowa reprimenda – zrezygnowano z ucieczki, kolega ojca wrócił do domu, a zawartość torby wyładowano na stół ku uciesze gości i rodziny... Ale bardzo dużo mężczyzn z wioski, starszych i młodszych, wyruszyło na uciekinierkę i nie powracali szybko, bo wojna pchała ich dalej na wschód aż pod Lwów. Wracali z tej pielgrzymki po paru tygodniach polami, lasami, bocznymi drogami, brudni, głodni, żywiąc się tylko tym, co jeszcze było na polach, a że z takiej żywności dostawali biegunki, więc rehabilitowali się za to ukraińskiej ziemi, nawożąc ją obficie i nie wszyscy z tej tułaczki wrócili.

Przez rodziną moją wieś płynie sobie taka mała rzeczka o nazwie Czarny Potok. Wijąc się zakrętami wyrabiała sobie w brzegach różne zagłębienia i głębizny, umożliwiając rybom schronienie, a tych rybek było bardzo dużo i różny gatunek, jak karasie, liny, śliże, jelce, które były takie największe i te właśnie łapaliśmy z kolegą Tadkiem koło mostu przy domu ludowym. Mając już w opałce kilka sztuk usłyszeliśmy warkot jadącego samochodu wypełnionego żołnierzami niemieckimi. Rzuciliśmy się do ucieczki, może dlatego, że pierwszy raz ujrzeliśmy żołnierzy niemieckich i nabraliśmy strachu. Uciekając słyszeliśmy śmiech żołnierzy – na pewno się śmiali z nas, jak dajemy drapaką i dość długo upłynęło, niczym pokazali się Niemcy we wsi.

A tymczasem życie w wiosce biegło dalej, a Niemcy już wydawali swoje zarządzenia, z których to najgorsze były kontyngenty zboża, bo po ich spełnieniu przednówek się wydłużał i głód zaglądał do niejednej chłopskiej rodziny. Bywały dni bardzo głodne i zmuszały do zrywania jeszcze nie bardzo dojrzałych kłosów zboża, suszenia ziaren i mielenia (i to po cichu, bo mielenie w żarnach było zabronione)

i pieczenia placków, ażeby kiszki marsza nie grały – bo muzyka też była zabroniona i o żadnych zabawach przy muzyce nie było mowy.

Szkoła nie była zabroniona, więc chodziliśmy się uczyć czytać, pisać i rachować, bo tyle nas tylko uczono, a zamiast książek były takie „płomyczki” zwane „Stery”. Rybki w rzece nadal łowiliśmy, a najczęściej ich było za „Kostusią” (tak nazywano kobietę, która mieszkała wraz z córką blisko tej rzeczki, a że była ona taka suchotka jak kość, więc nazwano ją „Kostusia”).

Rzeczka za jej domem robiła zakręt i była dość głęboka, więc ryby miały tu najlepsze schronienie w korzeniach rosnących na brzegu olch. Obecnie rzeczka jest nie do poznania i płynie dalej, choć jest martwa, żadnej w wodzie żywej istoty – wszystko zabiła ludzka cywilizacja, a tyle dawniej sprawiała nam radości.

Teraz na miejscu, gdzie stał domek Kostusi, stoi nowy dom ludowy. Po drugiej stronie drogi, trochę poniżej domku Kostusi, mieszkał sobie też w takim małym domku Broniek S. Był samotny i troszeczkę miał inaczej w głowie, chociaż pięknie malował. Co ten człowiek przeszedł biedy w życiu, to się w głowie nie mieści, a ile przezwisk! Ja też nie byłem święty i nieraz mu dokuczałem (ale swoim dzieciom nie pozwoliłbym na to) i gdzie się tylko Broniek pojawił, to już dzieci, a czasami i starsi wołali za nim „pijak, pijak”, a on przeklinał jak tylko potrafił. Przez przypadek potrafił go samochód, jak przywiózł towar do sklepu i uznali, że Broniek był pijany i za to za nim trąbiono, a może za to, że był biedny, bo wódki to on nigdy nie pił. Domek jego chylił się ku upadkowi, dach przeciekał, w oknach nie było szyb, drzwi wejściowe dziurawe, kuchnia rozwalona, żadnych mebli – po prostu ubóstwo. Przez jakiś czas mieszkał z nim, czyli

z Bronkiem, też taki samotny człowiek o nazwisku Lepucki, był chory, leżał na garści słomy w łachmanach, na ziemi wilgotnej i czarnej jak smoła, kaszłał, a ludzie z wioski przynosili mu jedzenie za kolejnością. Zmarł któregoś dnia przechodząc z piekieł do raju, a Bronek pozostał i żył dalej życiem choć ponizanym, ale kochanym.

Nie było w moim domu wiele do roboty, więc wałęsałem się po wsi z kolegami, szukając jakiejś rozrywki. Nareszcie pojawił się jakiś samochód z Niemcami, taka nyska z żelazną drabinką z tyłu, chociaż nie wiem, do czego ona służyła. Sąsiad Władek wpadł na pomysł, ażeby się uwiesić u tej drabinki, to się przewieziemy chociaż kawałek. Samochód ruszył w stronę Jasła, nabrał rozpędu i o skoczeniu nie ma mowy, a my coraz dalej od domu nabieramy strachu... skoczymy w Umieszczu do górki, jak samochód zwolni, a on jeszcze szybciej nabrał rozpędu i Władek nie wytrzymał, skoczył. Obejrzałem się i ujrzałem na drodze tylko tuman kurzu. Poszedłem w jego ślady i znów tuman kurzu. Wracaliśmy do domu, mało nie płacząc – kolana obite, z rąk krew idzie, z czoła zdarta skóra. Umykaliśmy opłótkami jak najszybciej, ażeby nas koledzy nie zauważyli, a Władkowi powiedziałem, żeby na drugi raz miał trochę lepsze pomysły.

Nie pamiętam już, kiedy to było, w 40 – tym czy 41 – szym roku, zajechało do naszej wioski wojsko niemieckie i rozkwaterowało się po domach, a było ich dużo, bo i u nas, choć domek był mały i mieszkańców dużo, ale i tak zakwaterował jeden z oficerów, bo miał gwiazdki na naramiennikach, a jeden z żołnierzy donosił mu obiady z kuchni, która się mieściła w domu ludowym. Oficer miał na imię Józef i pochodził gdzieś z Hamburga. Po dwóch tygodniach wypoczynku odjeżdżał na front, a żegnając się z ojcem i matką miał łzy w oczach, choć był Niemcem. Gdy

odjechał, na jego miejsce przyszedł inny żołnierz szeregowy, bardzo ładny chłopak. Siostry moje, które już się oglądały za chłopcami, mówiły „Ale ładny!”, a on się tylko uśmiechał i nic się nie odzywał, nie zdradzając, że zna język polski i jest Ślązakiem.

(...)